

# plomyczek

57/15c

ABC/C *lyt*

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

1—15.I.1988



# Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Zdzisław Byczek



— On nawet gdy sam tańczy, to sobie deptce po nogach!



— Słuchaj, może ona rzeczywiście jest zaklętą królowną?



— Przepraszam, że ci deptcę po nogach, ale zapomniałem ściegi z tańca!

A TO CIEKAWIE! • A TO CIEKAWIE! • A TO CIEKAWIE! • A TO CIEKAWIE! • A TO CIEKAWIE!

**PRZY WDECHU** wchłaniamy do płuc pół litra powietrza. W ciągu dnia zużywamy przeszło 20 000 litrów. Szybkość oddychania zależy przede wszystkim od wieku człowieka. Noworodek oddycha mniej więcej raz na sekundę. W wieku 15 lat oddychamy przeciętnie 18 razy na minutę.

**POWIEKI** mrugają samoczynnie mniej więcej co 6 sekund. W ciągu całego życia człowieka poruszają się przeszło 300 milionów razy.

**CIEŻAR** ciała dorosłego człowieka zwiększa się w ciągu dnia: u mężczyzn o 1,5 kg, a u kobiet o 1,2 kg. Wzrost natomiast w ciągu dnia maleje. Przeciętnie o 1 do 2 cm. Podczas nocnego wypoczynku waga i wzrost organizmu wracają do normy.

**NASZE SERCE** wykonuje ogromną pracę. Obliczono, że w ciągu 70 lat musi ono przepompować aż 250 milionów litrów krwi i wykonać 3 miliardy 575 milionów 440 tysięcy uderzeń.

Łączna długość wszystkich naczyń krwionośnych w ciele człowieka wynosi około 100 tys. km.

**CZŁOWIEK** w ciągu swego życia przeciętnie przebywa piechotą około 400 tys. km. Dawniej, gdy samochodów było mało i ludzie musieli więcej chodzić, człowiek przeciętnie w ciągu życia przebywał drogę długości 800 tys. km.

**BEZ JEDZENIA** człowiek może przeżyć 42 dni, bez picia — 5 dni, bez tlenku — 3 minuty.

**CZŁOWIEK** chory na grypę podczas kichnięcia rozprzestrzenia około 85 milionów wirusów, które w powietrzu roznoszą się z wielką prędkością na odległość 3—4 metrów. Kichanie jest uważane za przyczynę zarażenia się katarem. Jednak najnowsze badania wykazały, że najczęściej zarażeń następuje przez dotyk ręki.

W eksperymentach polegających na próbie zakażenia zdrowych ochotników, w 11 przypadkach na 15 zainfekowanie nastąpiło w wyniku zetknięcia rąk, zaś tylko jeden na 12 — drogą kropelkową.

Z badań tych wynika, że najlepszym sposobem zapobiegania katarowi jest częste mycie rąk oraz używanie do nosa tzw. chusteczek jednorazowego użytku.

**Nasza okładka:**

Szczęśliwego Nowego Roku!

## DO NOWEGO ROKU

Czekam na Ciebie,  
jak na zbawienie  
i myślę,  
że najszybciej  
zbliżasz się ciemną nocą  
i że jesteś biały.

Gdy przyjdiesz,  
nie będę Cię pytał,  
czy z jarzębiny się wyklułeś,  
czy na gołębiu  
jak śnieg przyfrunąłeś.

Spytam Cię  
tylko o to:  
Czy będziesz dobry?

*Eugeniusz Adam Osmański*  
*Rys. Irena Łakomlec-Kamińska*



# KSZTAŁTOWANIE CHARAKTERU

Wczoraj w szkole pokłóciłam się z Jolką. O co poszło? Powiedziała, że moja czapka, moja piękna, nowa puchata czapeczka jest nietwarzowa... Że nie powinnam jej nosić.

Oczywiście, każdy ma prawo do własnego zdania, ale czy powinien przy tym robić przykrość innym?

Chyba jednak zareagowałam zbyt gwałtownie.

Zawołałam:

— Nie masz za grosz gustu! Czapka jest śliczna i wszystkim się podoba.

Wzruszyła ramionami i powiedziała:

— Widocznie nie wszystkim, bo mnie nie.

W drodze powrotnej zaczytałam się w autobusie i nie zauważyłam, że stoi obok mnie jakaś starsza pani...

Zwrócono mi uwagę. Zresztą nie po raz pierwszy mi się to zdarza. Kiedy mam ciekawą książkę, świat dla mnie nie istnieje.

Po powrocie do domu uderzyłam Kinga. I za co!!!?

Tylko za to, że zbyt entuzjastycznie witał się ze mną, a ja miałam na sobie jasną sukienkę i bałam się, że mnie pobrudzi.

Potem niegrzecznie odpowiedziałam Jackowi, mojemu starszemu bratu, kiedy spytał, jak długo będę zajmować telefon.

— Jak długo będzie mi się podobało. Mam trochę ważniejsze sprawy niż umawianie się na randki, jak ty to robisz.

W sobotę wyjadłam rodzinę, które mama przygotowała do ciasta...

Przemyślałam sobie to wszystko przed snem. I postanowiłam, że muszę się zmienić. Po prostu muszę poprawić nad swoim charakterem.

Jestem porywcza, łakoma, nieuważna, niegrzeczna... Aha, przypomniało mi się, że parę razy, kiedy nie chciało mi się iść do sklepu, tłumaczyłam mamie, że właśnie odrabiam trudne zadanie i nie mogę się rozpraszać.

Jestem więc jeszcze ponadto leniwa. O wiele za dużo wad, jak na jedną osobę. Zresztą, jakby tak trochę lepiej poszukać, znalazłoby się jeszcze więcej.

Trzeba to zmienić! Wszyscy przestaną mnie lubić, będą o mnie źle myśleć, a moje łakomstwo doprowadzi mnie do tego, że będę wyglądała jak klucha. Muszę się zmienić! I to zaraz! Od jutra! Chociaż nie będzie to żaden nadzwyczajny dzień, żadna okrągła data. Po prostu czwartek, i środek miesiąca.

Zacznę od dobrych uczynków. Najpierw w domu.

Nastawiłam sobie budzik na piątą i wstałam, kiedy jeszcze wszyscy spali. Postanowiłam zrobić im niespodziankę i przygotować śniadanie. Z uwzględnieniem indywidualnych gustów. Kiedy się obudzą — zastaną pięknie nakryty stół, a na nim swoje ulubione potrawy.

Zabrałam się energicznie do roboty.

Nagle otworzyły się drzwi od pokoju mamy. Weszła do kuchni zaspasana, ziewająca, w szlafroku narzuconym na nocną koszulę.

— Co się dzieje, Agnieszko? — zapytała marszcząc brwi. — Co ty tu robisz w kuchni, o tej porze?

— Szykuję śniadanie — powiedziałam i chociaż okropnie rozdrażniła mnie jej niespodziewana wizyta, uśmiechnęłam się promiennie.

Popatrzyła na mnie uważnie.

— Czy ty się może źle czujesz, moje dziecko?

Podeszła bliżej, dotknęła dłonią mego czoła.

— Nic mi nie jest — powiedziałam. — Po prostu chciałam zrobić śniadanie.

— O tej porze?! Taka jesteś okrop-



nie głodna? Nie możesz wytrzymać do rana! Musisz cały dom postawić na nogi? — dodała, bo i ona zobaczyła w drzwiach rozczochraną głowę Jacka.

— Co tu się dzieje?! — zapytał zaspanym głosem.

— Agnieszka robi sobie śniadanie.

— Nie sobie — sprostowałam. — Chciałam przygotować śniadanie dla wszystkich.

Jacek zerknął na kuchenny zegar.

— O piątej godzinie?! — zawołał. — Zawsze powtarzam, że ona jest trochę szurnięta!

— Co to za wyrażenie! — oburzyła się mama. — Dostyc tego! Marsz mi zaraz do łóżka! I ma być spokój, bo jeszcze obudzić ojca. A wiecie, jak on ciężko pracuje!

— Niczego nie zrozumieli — wstęchnęłam sobie smutno, ale się zaraz

pocieszyłam, że wszystko jeszcze przede mną.

W drodze do szkoły, na przejściu, zauważyłam młodą kobietę, która trzymała jedną dłoń pałak wózka, a drugą za rączkę małe dziecko. Obok stał jeszcze jeden malec. Nie namyślałam się długo. Kiedy tylko zapaliło się zielone światło, schwyciłam go za rękę i szybko weszliśmy na jezdnię.

Dziecko jednak stawiało opór i wrzeszczało jak opętane. Za mną też ktoś coś wykrzykiwał. Nie mogłam się przecież zatrzymać na środku jezdni. Przeprowadziłam wrzeszczącego bachora na drugą stronę.

Podbiegła do mnie zdyszana, tęga, starsza pani i krzyknęła:

— Co to za głupie żarty! Dlaczego porwałaś chłopca?

Stałam w milczeniu i w milczeniu

patrzyłam, jak matka z wózkiem i swoim maluchem idzie spokojnie dalej. Ten mój należał do owej starszej kobiety, teraz tulił się do niej wystraszony, a ona dalej wykrzykiwała oburzona:

— Stoję sobie spokojnie, a ta smarkula wrywa mi mojego wnuczka i galopuje z nim przez jezdnię!

Ludzie, jak to zwykle bywa, też coś dogadywali, a ja poszłam szybko przed siebie, okropnie przygnębiona.

Nic mi się dzisiaj nie udawało...

W szkole postanowiłam pogodzić się z Jolką. Powiedziałam jej, że nie będę do szkoły przychodzić w czapeczce, która jej się tak bardzo nie podoba.

Popatrzyła na mnie, popukała się palcem w czoło.

— Albo jesteś stuknięta, albo kpinny sobie ze mnie robisz? Dla mnie to ty sobie możesz chodzić w kubelku na głowie, wiesz...

I odeszła, wzruszając ramionami.

Mimo tych wszystkich niepowodzeń, postanowiłam nie dawać za wygraną.

W domu zastałam Jacka przed telewizorem. Powiedziałam grzecznie:

— Dzień dobry, braciszku!

Spojrzał na mnie jak na wariatkę.

— Coś ci odbija, Agniecha!

Przyjrzał mi się uważniej.

— A może ty coś przeskrobałaś?... Lepiej przyznaj się od razu!

— Nic nie przeskrobałam. Wszystko w najlepszym porządku — powiedziałam z uśmiechem. — A co u ciebie? — zapytałam uprzejmie.

Już zupełnie przestał patrzeć w ekran telewizora. Wpatrywał się we mnie z rosnącą uwagą.

— Ty jednak coś kręcisz, dziewczyno? Powiedz, co zmalowałaś w szkole! Gadaj! Mnie przecież możesz się przyznać! Zaraz ci ulży, mówię ci. Nie pisnę nikomu ani słówka.

Już chciałam powiedzieć, żeby się mnie nie czepiał jak rzep psiego ogo-

na, ale jakoś się opanowałam.

Obiad przebiegał spokojnie. Tak jak zwykle. Mama zwróciła uwagę Jackowi, żeby nie czytał książki przy stole, tata, mruknąwszy coś pod nosem, odłożył gazetę, żeby nie dawać złego przykładu, Jacek fuknął na mnie, żebym nie pociągała nosem, bo to mało eleganckie. A ja tylko się uśmiechnęłam. Do wszystkich. I do każdego z osobna.

Na deser była moja ulubiona galaretka malinowa.

Aż się oblizalam na jej widok. Oparłam się jednak pokusie.

— Czemu nie jesz galaretki? — zaniepokoiła się mama.

— Jakoś mi się nie chce — powiedziałam. — Zjem później.

— Ty mi się coś dzisiaj nie podobasz! — mama była coraz bardziej niespokojna. — Taka jesteś milcząca...

— I uśmiecha się głupkowato — dodał Jacek.

Ojciec, który już zdążył dorwać się do gazety, wychylił spoza niej głowę.

— Rzeczywiście jest trochę dziwna — powiedział.

— Nic mi nie jest — powiedziałam i z grzecznym „dziękuję” podniosłam się od stołu, nie zapominając o galaretkie. Poszłam do siebie.

Postawiłam miseczkę z daleka od siebie, za wazonem, żeby mi się nie rzucała w oczy. Jednakże pokusa była bardzo silna. Wiedziałam, że długo nie wytrzymam. Dziobnęłam delikatnie łyżeczką — co za pyszności! Wygładziłam nieco naruszoną powierzchnię i poszłam do Jacka.

Rozmawiał przez telefon. Na pewno z Edytą, bo na mój widok zrobił okropnie złą minę.

Powiedział do słuchawki:

— Przepraszam cię na chwilę — zasłonił dłonią słuchawkę i powiedział do mnie groźnie:

— Co się tak skradasz? Co tam chowasz za plecami?

Wyciągnęłam rękę z miseczką.

— Coś ci przyniosłam.

Spojrzał najpierw na galaretkę, potem na mnie.

— Agniecha! Co się z tobą dzieje?

— Nic takiego. Chciałam ci po prostu oddać mój deser.

Powiedział czule do słuchawki:

— Przepraszam cię, skarbie. Zaraz do ciebie zadzwonię, tylko się pozbędę tej okropnej smarkuli. Przyszła tu pewnie podsłuchiwać...

Odłożył słuchawkę.

— Czego ty chcesz ode mnie? Czego się do mnie przyczepiłaś?! — wrzasnął.

— Niczego nie chcę — mruknęłam.

— To dlaczego podsłuchujesz?

Przez chwilę jeszcze próbowałam panować nad sobą. Jednak nie wytrzymałam.

— Nie miałabym nic innego do roboty, tylko podsłuchiwać, jak pleciesz te swoje tui, tui, żabko, kotku, skarbeczku, jak wzdychasz, jak się wygłupiasz...

— Wynoś się stąd! — wrzasnął. — Wynoś się natychmiast, bo tak cię spiorę, że popamiętasz!

— Zaraz, za chwilę — powiedziałam. — Tylko się trochę posilę.

Podniosłam do ust galaretkę i zaczęłam jeść bezpośrednio z miseczki jak proszę.

— Co ty wyprawiasz?! Jak ty się zachowujesz?! — zawołała mama, którą zwabiły nasze krzyki...

— Proszę, zobacz tylko, jak się twoja córeczka popisuje — zawołał Jacek. — Zobacz, jak się cała umazała...

— Marsz mi zaraz do łazienki! — zawołała mama. — Umyj się i bierz do lekcji. Rzeczywiście, wytrzymać z tobą trudno!

Zamknęłam się w łazience i dopiero teraz mogłam się rozplakać.

Wanda Osuchowska-Orłowska  
Rys. Artur Gołębiowski





**Konkurs literacki im. Kornela Makuszyńskiego**, zorganizowany przez Warszawską Wszechnicę Literatury Dziecięcej i redakcję „Płomyczka” (przy współudziale Oddziału Warszawskiego ZLP oraz Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy) został rozstrzygnięty 2 października 1987 r.

Jury Konkursu w składzie: Hanna Ożogowska (przewodnicząca), Tadeusz Chudy, Kazimierz Śladewski, Bolesław Zagala (członkowie) i Eugeniusz Orłow (sekretarz jury) przyznało: **5 nagród i 6 wyróżnień** (2 nagrody i 2

wyróżnienia w dziale prozy oraz 3 nagrody i 4 wyróżnienia w dziale poezji).

I nagrodę w dziale poezji otrzymał Wiesław Szymański z Białegostoku za wiersze „Staruszek Czas” i „Łukasz i ja”.

I nagrodę w dziale prozy otrzymał Kazimierz Koszutki z Wrocławia za opowiadanie „Dom”.

Miłą niespodzianką sprawili organizatorom i jurorom, fakt, że Konkursem zainteresowali się pisarze z całej Polski.



# STARUSZEK CZAS

Szedł przez las  
staruszek Czas.  
W worku niósł  
śnieg i mróz,  
poszum wierzb,  
grad i deszcz.

I rozdawał to, co miał —  
zimie szczyptę mrozu dał,  
wiośnie wszystkie szumy wierzb,  
a jesieni oddał deszcz.

Poszedł dalej krok za krokiem,  
wymachując pustym workiem.  
Przez rok cały będzie chodził  
i po polu, i po lesie,  
kilometrów tysiąc zrobi —  
pełny worek znów przyniesie.

*Wiesław Szymański*

# ŁUKASZ I JA

Mama śpi.  
— Powiedz mi,  
jakie sny są najpiękniejsze?  
jakie ptaki najśpiwniejsze?  
jakie drzewa są najwyższe?  
— Zaraz, zaraz... niech pomyślę...

Snów jest tyle, ile ptaków,  
albo więcej — kto to wie?  
Drzew wysokich? — Pójdź do lasu,  
w lesie sam przekonasz się.

Bajek, baśni jest na świecie  
więcej niżli wszystkich dzieci!  
Wiersze chodzą po ulicy,  
nikt nie może ich policzyć!

Jeśli chcesz, opowiem ci,  
tylko ciiiicho...  
Mama śpi.

*Wiesław Szymański*  
*Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk*

# DOM

Adaś ma dziesięć lat i jest, jeśli chodzi o staż — najstarszym pacjentem oddziału. Kiedy przed trzema miesiącami lekarz dyżurny sanatorium zapytał go o miejsce zamieszkania, Adaś podał odruchowo adres kliniki. Istotnie bowiem sala numer siedem była dlań ze wszystkich dotychczasowych adresów miejscem najdłuższego pobytu. Dom rodzinny pamiętał tylko z własnych o nim wyobrażeń. Kiedy inne dzieci opowiadały sobie o swoich domach, z dosadną drobiazgowością opisując ich najpospolitsze szczegóły i właściwości, a także najbliższą okolicę — w Adasiu wzbierała bezsilna rozpacz: usiłował bowiem przypomnieć sobie swój dom, ale próbował nadaremnie. To nie zdało się na nic. Z dna nękanej dzień w dzień pamięci nie wychylał się żaden szczegół, żaden sprzęt ani barwa, choćby jakieś kulawe krzeselko, które można by uchwycić, na którym można by oprzeć swoje opowiadanie. Adaś zazdrościł kolegom i wstydził się swojej ułomnej pamięci tym bardziej niecierpliwie, że nazbyt długie uchylanie się od opowiedzenia chłopcom o swoim domu mogło się wydać podejrzane.

Jego powściągliwość, więcej: niechęć — była nienaturalna, budziła zdziwienie, inni chłopcy bowiem nie tylko chcieli wiedzieć o sobie wszystko, a nawet więcej, chcieli zająć innych sobą, wymusić dla siebie najdogodniejsze i najbardziej rozległe miejsce we wzajemnych zainteresowaniach.

Adaś unikał tych rozmów, jakby mu na nich nie zależało. Więcej: jakby się ich bał. Słuchał, słuchał i zazdrościł, a nocami, kiedy chłopcy już spali — wymyślał dla nich swój dom, od skrzypiącej furtki w ogrodzie i kasztana za oknem poczynając, mozolnie, szczegół po szczególe, nie omijając

nawet drobnej skazy w murze: miejsca wytartego przez guziki, w które grywał z dziećmi sąsiadów — aż po sklejoną z szyszek parę sów na stoliku nocnym przy łóżku. Ta skaza w murze i te sowy były bardzo ważne dla domu, który sobie wymyślał Adaś.

Najtrudniej mu było zapamiętać imiona spotykanych tam dzieci, myliły mu się ich przezwiska. Nocą, kiedy inni chłopcy już spali, kiedy na korytarzach ucichło już wszystko i opustoszało — mógł Adaś spokojnie zabrać się do myślenia o swoim domu, pewny, że nikt mu nie przeszkodzi, nie przerwie. Udawało mu się niekiedy zmylić nawet czujność siostry Marii, która w nocy nieraz zaglądała do ich sali, i wtedy Adaś szczególnie starannie udawał, że śpi. Musiał się jednak czymś zdradzić, może zaczerwienionymi nad ranem z niewyspania oczami, bo siostra Maria, na której troskliwość nie miał powodu się uskarżać — stała się jeszcze bardziej troskliwa i z nie tajonym, intensywniejszym niż zwykle zaniepokojeniem wypytywała, czy mu coś nie dolega, badała puls, sprawdzała temperaturę. Adaś pomyślał, że należałoby może przestać myśleć o domu przez parę nocy, aby uspokoić siostrę. Ale nie potrafił. Nie pomyślał jeszcze wszystkiego, kiedy siostra Maria weszła do sali, jak zwykle późnym wieczorem, po wygaszeniu świateł, kiedy wszyscy chłopcy już spali, powstała chwilę w otwartych drzwiach, nasłuchując i usiadła przy łóżku Adasia. Usiłował najstaranniej jak tylko umiał, udawać, że śpi jak inni, ale tym razem siostra Maria nie dała się zwieść. No więc musiał jej opowiedzieć wszystko o swoim wymyślonym domu. Zresztą dobrze się stało, że mógł wszystko opowiedzieć najpierw siostrze Marii. Lubił ją bardziej niż kogokolwiek i jeśli jej się jego dom nie spodoba — można będzie jeszcze wszystko poprawić.

Ale dom siostrze się podobał, można więc było nareszcie opowiedzieć o nim kolegom.

Był to bowiem dom niezwykły, ale dostatecznie wiarygodny, a jednak po pewnym czasie chłopcy zaczęli powątpiewać w jego opowiadanie. Nie z zazdrości. Lubili Adasia i nie byli nawet zazdrośni o sympatię siostry Marii, o pobłażliwość innych sióstr i lekarzy dla niego, dla jego psikusów i figli, świętym przecież nie był. Jeśli mu czegoś zazdrościli naprawdę, szczerze, przekorną, przewrotną nawet zazdrością — to tego, że oni mieli po jednej, dwie, trzy najwyżej wady serca, a Adaś miał ich pięć. Ale do każdego z tych chłopców, rzadziej lub częściej, ale przynajmniej raz, dwa razy w miesiącu przychodził, przyjeżdżał ktoś z domu: ojciec, siostra, także koledzy. Przychodziły też listy.

Dla Adasia dni odwiedzin były najtrudniejsze, nie do zniesienia. Znikał wtedy, zaszywał się w jakiś kąć — i przez jakiś czas udawało mu się to wymykanie od natarczywej ciekawości kolegów, od naiwnych i prostodusznych, a przecież podstępnych, osaczających pytań: a kto do ciebie przyszedł, a co ci przyniósł... Musiał więc teraz Adaś bronić wiarygodności swego domu, wymyślonego z takim wysiłkiem — nie tylko przed chłopcami, ale także przed sobą.

Napisał więc list do domu, do matki — z prośbą, żeby przyjechała. Poprosił siostrę Marię, żeby poprawiała błędy i wysłała. Przy adresie zawahał się, siostra Maria w porę przysłała mu z pomocą: obiecała sama zaadresować kopertę, żeby było wyraźnie, bez błędów i kleksów.

Zaczęło się czekanie. Niecierpliwe, męczące. Nikt nie przyjeżdżał. I nie było odpowiedzi. Siostra Maria zapewniała Adasia, że list wysłała, nie mógł jej nie ufać, ale czekać było mu coraz trudniej. Siostra Maria plątała się w domysłach: może list nie doszedł?

Narzekąca na ślamazarność poczty, na niesumienność listonoszy, na zamiecie i śnieżyce, które opóźniają pociągi, na personalnych, którzy nie chcą dać mamie urlopu o tej porze. Dociekliwość kolegów była coraz bardziej natarczywa, podejrzenia coraz dotkliwsze, Adaś napisał więc nowy, długi list do domu. I znowu czekał. Dzień, dwa, tydzień.

Kiedy po tygodniu, akurat w porze odwiedzin, przyniesiono Adasiowi paczkę, niezwykłą, poleconą — wszyscy chłopcy, wymknąwszy się z ramion swoich najbliższych, otoczyli go ciasnym kołem i tłocząc się i przepychając pomagali mu paczkę otworzyć, wymować z niej po kolei: list w niebieskiej kopercie, owoce, czekoladę — i każdy chciał przynajmniej dotknąć

szurka, którym paczka była obwiązana. Cieszyli się tą paczką bardziej niż odwiedzinami swoich najbliższych.

Największa niespodzianka czekała ich na samym dnie paczki: małe tekturowe pudełko, z którego Adaś sam, własnymi rękami wyłuskał... dwie z szyszek sklezione, przytulone do siebie na jodłowej gałęzi — sowy... Tułac je ostrożnie w drżących dłoniach, żeby ich nie pognieść — uśmiechnięty do łez przedzierał się przez krąg chłopców, wołając: siostró Mario, siostró Mario...

A siostra Maria stała w drzwiach, też uśmiechnięta i trochę zakłopotana: Adaś uwierzył, że miał swój dom...

*Kazimierz Koszutski*



The illustration depicts a stylized tree with a brown trunk and bare branches. A blue spire with a yellow top is visible behind the tree. Several birds are shown: one in flight with wings spread, another perched on a branch, and a third in a small window at the bottom of the tree. A girl in a pink dress is perched on a large red tulip flower. The sky is a mottled blue-grey, featuring a sun with a human-like eye in the center and several white stars.

## DZIEŃ DOBRY, PANIE ANDERSENIE

Było brzydkie kaczątko,  
najsmutniejsze z kaczątek,  
zahukane, małe i słabe,  
dokuczali mu wszyscy,  
bo nikt o tym nie wiedział,  
że z kaczątka narodzi się łabędź.

Dzień dobry, panie Andersenie,  
pan tam daleko, pośród gwiazd,  
a tutaj rośnie pokolenie  
i to pytanie zadać czas:

— A co z nas będzie?

Co z nas będzie?

Czy w srebrne pióra  
dmuchnie wiatr?

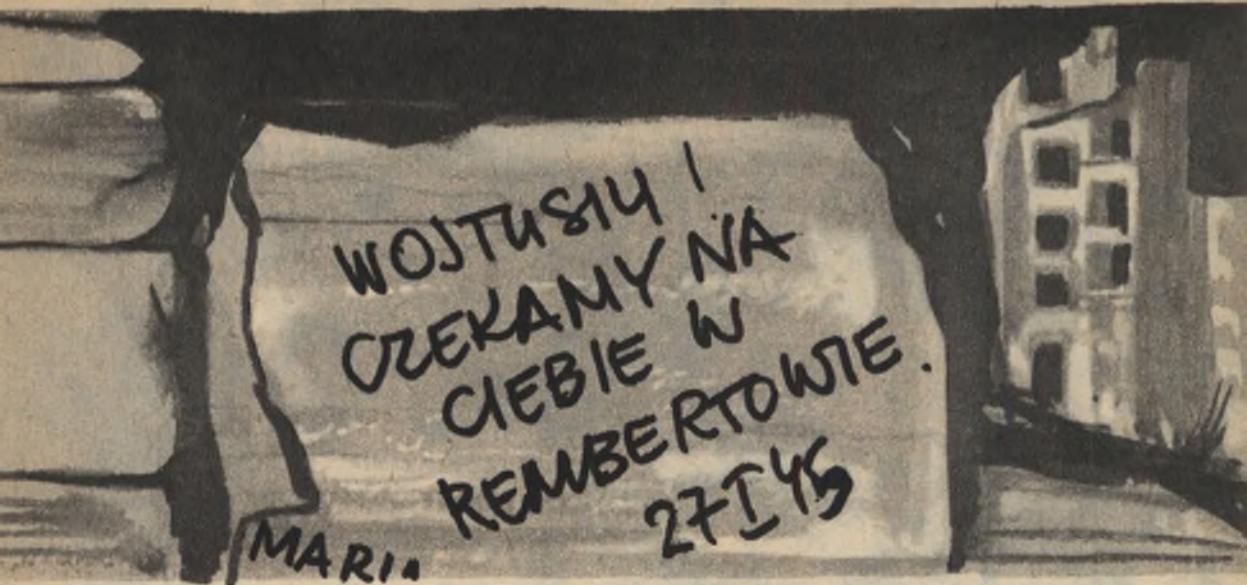
Czy wyrośniemy na łabędzie  
jak to kaczątko z dawnych lat?  
Jeszcze pióra za małe,  
jeszcze skrzydeł nie widać,  
jeszcze łabędź nie gotów do lotu.  
Ej, kacząta, słyszycie?  
Pan Andersen w nas wierzy,  
nie możemy mu sprawić zawodu.

Dzień dobry, panie Andersenie,  
my nie rzucamy słów na wiatr,  
będziemy starać się codziennie,  
żeby łabędzie ujrzały świat.

Pan wie, co będzie,  
co z nas będzie,  
i już niedługo przyjdzie czas,  
że wyrośniemy na łabędzie  
i pofruniemy aż do gwiazd!

Wanda Chotomska  
Rys. Krystyna Michałowska





## LIST NA MURZE

Pan Wojciech Raszynek jest listonoszem w naszym rejonie pocztowym od trzydziestu lat. Codziennie rano wychodzi z budynku poczty dźwigając na ramieniu wypchaną torbę pełną listów, przekazów i paczek. Zna na pamięć wszystkich adresatów. Nie raz zdarzy się, że nadawca przekreśli nazwę ulicy lub pomyli numer mieszkania, ale nie ma obawy: list dostanie się do właściwych rąk.

Każdego dnia z dokładnością prawie co do minuty wkłada do skrzynek na klatce schodowej listy lub doręcza przesyłki do mieszkań. Nic więc dziwnego, że gdy tamtego dnia rozległ się dzwonek, mama spojrzała na zegarek i zawołała:

— Jedenasta! To na pewno pan Raszynek...

I rzeczywiście. Kiedy na spółkę z bratem otworzyli drzwi, zobaczyli przed sobą obsypanego śniegiem listonosza.

Uśmiechnął się na nasz widok i zapytał:

— Dzień dobry! Czy mama jest w domu?

— Jestem. Dzień dobry! — Mama wychyliła się z pokoju. — Ma pan coś dla mnie?

— A tak... Proszę podpisać.

Listonosz chciał odejść, ale mama zatrzymała go.

— Zimno dzisiaj. Niech pan wejdzie. Zaraz zrobię kawy albo herbaty. Proszę...

Pan Raszynek zawahał się przez moment, potem powiedział:

— Dziękuję. Rzeczywiście, ziąb dzisiaj na dworze. No, wiadomo: styczeń...

Zdjął palto, odstawił torbę z listami, wytarł starannie buty i wszedł do pokoju. Wkrótce zagwizdał czajnik i mama wniosła na tacy kawę, a dla mnie i brata — herbatę. Pan Raszynek posłodził swoją kawę, wypił duży łyk i odezwał się:

— Od razu cieplej... Dziękuję.

Umilkł na chwilę, a mój brat Wojtek spojrzał na pękatą torbę i zapytał:

— Czy dużo listów roznosi pan codziennie?

Nasz gość uśmiechnął się znowu i odpowiedział:

— Oj, sporo! Może tysiąc, może więcej. Nie liczę...

— Roznosi pan ludziom listy i pewnie trochę panu przykro, że nikt ich panu nie doręcza? — odezwała się mama.

— No, cóż... Już taka dola listonosza — rzekł pan Raszynek i spojrzął w okno, za którym tańczyły płatki śniegu. Nagle na jego twarzy zjawilo się jakieś dziwne wzruszenie. Milczał przez moment, a potem powiedział:

— Mówiliśmy o listach. I właśnie przypomniałem sobie taki jeden, najważniejszy chyba w moim życiu list. A pisany był nie na papierze, lecz na kamieniu.

— Na kamieniu?

— A tak. To było tak. W styczniu 1945 roku znajdowałem się w pewnej wiosce niedaleko Sandomierza. Ukrywałem się tam przed Niemcami, którzy mnie poszukiwali. Natychmiast, kiedy dotarła do mnie wiadomość o wyzwoleniu Warszawy, postanowiłem wrócić do stolicy, gdzie pozostali moi rodzice i siostra. Udało mi się wprosić na wojskową ciężarówkę i wkrótce byłem w Warszawie. Serce mi się ścisnęło z bólu na widok ruin. Z obawą zbliżałem się do swojej ulicy. Sześciopiętrowa kamienica, w której mieszkałem, leżała w gruzach, tylko

brama' ocalała. Zrozumiałem, że moi najbliżsi zginęli, i usiadłem bezradnie na zwalonej latarni. Po długiej chwili wstałem i podszedłem do ocalałej bramy. Popatrzyłem na nią w zamyśleniu i nagle drgnąłem. Na płycie z płaskowca ujrzałem napis: „Wojtusi! Czekamy na Ciebie w Rembertowie...” I data sprzed trzech dni... To był najpiękniejszy list, chociaż na kamieniu... Obok mojego „listu” były inne: „Marian, przyjeźdź do Sochaczewa...” „Mieszkamy teraz: Złota 34...” I podpisy. Takie były te pierwsze — kamienne listy w tamtych czasach...

Pan Raszynek umilkł, wypił swoją kawę. Potem wstał i powiedział:

— No, na mnie czas! Ludzie czekają na listy...

Założył palto i przerzucił przez ramię pas od swojej torby. Kiedy wyszedł, patrzyliśmy z bratem za nim przez okno. A potem jeszcze długo myśleliśmy o tamtych dniach w wyzwolonej Warszawie, kiedy ludzie pisali do siebie listy na kamiennych ruinach swoich domów. Pisali, aby się odnaleźć po wielkiej wojennej zawierusze...

*Ryszard Przymus*

*Rys. Katarzyna Orthwein*

# TELEGRAM

DO DRUŻYN HARCERSKICH I ZUCHOWYCH

KWATERA GŁÓWNA  
ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO

zaprasza

do udziału w konkursie

„HARCERZE WSPÓLGOSPODARZAMI SZKOŁY”

Warunki konkursu

w grudniowym numerze z 1987 roku  
miesięcznika „DRUŻYNA-PROPOZYCJE”

i w styczniowym numerze z 1988 roku  
miesięcznika „ZUCHOWE WIEŚCI”

Na laureatów konkursu  
czekają atrakcyjne nagrody

# ZIMA

Od rana śnieg sypie  
biały, drobny, drobniutki.

Na polach ślady —  
czarne nuty, nutki.

To zające i wrony  
pogubiły buty.

Teraz drżą z zimna,  
a wichur zaczyna.

*Ryszard Kornacki*

— Chodź!  
Zboczmy ze ścieżki.  
Taki dobry dzisiaj  
śnieg,  
mokry jeszcze.

— Ulep kulę!  
— Rzuć!  
— Łap!  
— Trzymaj!

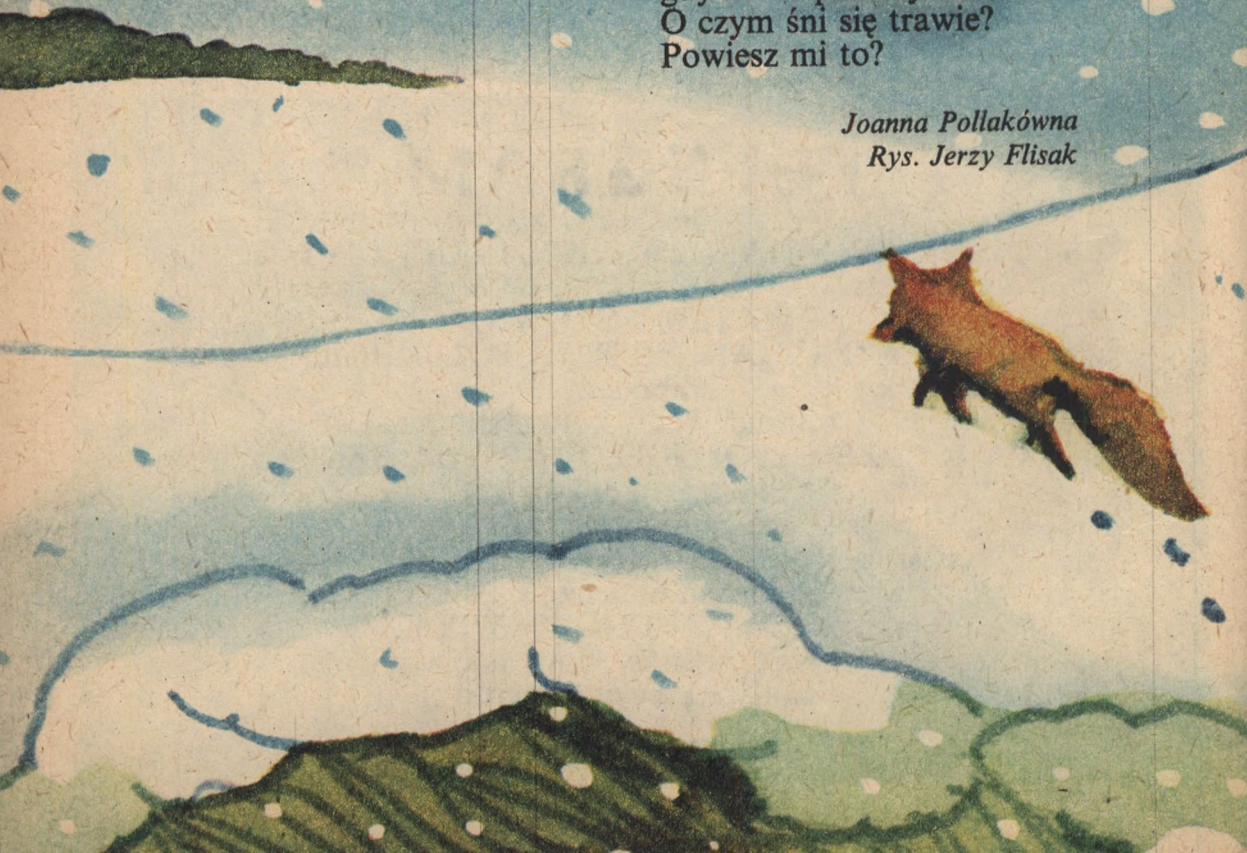
Nareszcie prawdziwa zima!

*Maja Waszak*

# TRAWA ZIMĄ

O czym trawie śni się,  
gdy spadnie śnieg?  
Może o lisie,  
co biegł  
zamiatając kitą?  
Czy o zajączków zabawie,  
gdy im ciepło i syto?  
O czym śni się trawie?  
Powiesz mi to?

*Joanna Pollakówna*  
*Rys. Jerzy Flisak*









## CZERWONY JAK RAK

Mówimy tak o kimś, kto zbyt długo przypiekił się na słońcu lub siedział za długo w gorącej kąpieli itd. Stosuje się również określenie „spiec raka” w odniesieniu do kogoś, kto tak się wstydzi, że aż poczerwieniał na twarzy. Ale gdyby ktoś z czytelników widział żywego raka, to stwierdziłby, że jego kolor w niczym nie przypomina czerwieni. Raki bywają brunatne, ciemnozielone, niebieskawe, ale nie czerwone. Czyżby to znane powiedzenie „czerwony jak rak” nie miało sensu? Właśnie, że ma. Dotychczas mówiliśmy o żywych rakach! Natomiast przeznaczone do jedzenia, czyli ugotowane raki stają się czerwone!

Dlaczego tak się dzieje?! Moi drodzy, rzecz w tym, że naturalna barwa skorupy jest jakby efektem wymieszania się różnych kolorów. Postaram się to wyjaśnić na prostym przykładzie. Jeśli weźmiecie farbę czerwoną, dodacie do niej zieloną, niebieską i np. brązową, to w końcu otrzymacie jakiś brudnobury, czarniawy lub zgnięzielony kolor. I tak właśnie jest z rakiem. W jego pancerzu znajdują się różne barwniki, i to one razem sprawiają, że rak ma takie ciemne, mało efektowne zabarwienie. Gdy któryś z barwników występuje w nadmiarze, np. zielony, wtedy i rak jest raczej zielonkawy, gdy niebieski — błękitny, itd. Najczęściej jednak występują one w równych proporcjach. Tajemnica zmiany koloru raka kryje się w różnej trwałości tych barwników. Tylko czerwony jest odporny na działanie wysokiej temperatury, a pozostałe ulegają rozkładowi w gorącej wodzie i płowieją.

*Anna Siwkiewicz  
Rys. Joanna Kusek*



# DBAMY O ZDROWIE (6)

## WITAMINA A i nasze zdrowie

Skąd się biorą różne barwy? Czy zastanawialiście się nad tym zjawiskiem? Zapewne na lekcji biologii zapoznaliście się z funkcją niektórych barwników roślinnych występujących w liściach. Barwnik zielony, widoczny w liściach przez cały okres wegetacji roślin, to chlorofil. To on jest najbardziej czynny przy tworzeniu przez roślinę różnych związków organicznych. Barwnik ten stopniowo ginie, gdy nadchodzi jesień i rośliny sposobią się do „snu zimowego”. Giniąca zieleń ujawnia w liściach całą gamę kolorów złota, czerwieni i brązów. Dzieje się to za sprawą barwników roślinnych zwanych karotenoidami.

**Karotenoidy** występują we wszystkich zielonych liściach, a więc i w liściach szpinaku, sałaty, szczawiu, w naci pietruszki, naci selerów, w liściach porów, koperku, cykorii, buraków, kapusty, szczególnie brukselki i kapusty włoskiej. Występują one również w owocach, np. w pomidorach, w papryce, dyni, kabaczkach, w mniejszej ilości w brzoskwiniach, morelach, w śliwkach. Szczególnie dużo karotenoidów zawierają korzenie marchwi i owoce dyni.

Jeden z grupy tych barwników, zwany beta-karotenem, odgrywa ważną rolę w życiu człowieka. Spełnia on funkcję witaminy A, ponieważ organizm ludzki ma zdolność przemiany dostarczanego z żywnością beta-karotenu na witaminę A.

Produkty pochodzenia zwierzęcego dostarczają natomiast witaminy A, której organizm człowieka nie musi przetwarzać. Bardzo bogaty w ten składnik jest tłuszcz rybi, zwany tranem, i niektóre tłuste ryby, np. sardynki, oraz wątroby zwierząt rzeźnych i drobiu, następnie masło, śmietana, mleko pełnotłuste, sery dojrzewające (żółte), sery twarogowe, żółtka jaj.

O witaminach zapewne słyszeliście wiele, ale może nie zdajecie sobie sprawy z tego, jakie konsekwencje ponosi organizm, gdy istnieją ich niedobory powstające wskutek wadliwego żywienia.

**Niedobór witaminy A** może spowodować tzw. „kurzą ślepotę”. Objawia się ona tym, że o zmroku człowiek jakby częściowo ślepie — nie rozróżnia barw i przedmiotów. Światłowstręt, uczucie pieczenia i suchość pod po-



wiekami, widzenie przez mgłę sygnalizuje o początkach tych niedoborów. Występuje również wtedy suchość skóry. Wadliwe żywienie powoduje przykre dla nas następstwa.

Dobry wzrok będziecie mieć, gdy będziecie żywić się racjonalnie, oznacza to, że w waszym jadłospisie muszą występować wymienione wyżej produkty dostarczające witaminy A i beta-karotenu, zwanego również pro-witaminą A.

**Beta-karoten** jest przyswajany przez nasz organizm tylko wówczas, gdy pokarmy spożywamy razem z produktami dostarczającymi tłuszczu.

Jeżeli więc przygotowujecie surówkę, np. z marchwi, to trzeba ją drobno zetrzeć i dodać do niej śmietany lub oleju. Postępujemy tak ze wszystkimi warzywami dostarczającymi beta-karotenu, niezależnie od tego, czy spożywamy je w postaci surowej, czy gotowanej. Zjawisko rozpuszczalności beta-karotenu w tłuszczach najłatwiej można zaobserwować w potrawach z marchwi. Jeżeli rozdrobnioną marchew gotować w wodzie, to nie zabarwi się ona na kolor pomarańczowy (jest to kolor beta-karotenu), po dodaniu tłuszczu w wodzie wystąpią oka tłuszczu zabarwione na pomarańczowo. Beta-karoten i witamina A rozkłada się pod wpływem światła, natomiast w czasie gotowania straty jej są niewielkie. Dlatego produkty zawierające witaminę A należy chronić przed światłem.

*Krystyna Tarnowska*

**SPECJALNIE  
DLA „PŁOMYCZKA”  
Z GRECJI**



## DELPHY

Ten zespół budowli antycznych, jeden z najcenniejszych w Grecji, położony jest u podnóża Parnasu. Zwiedzałam go w upalny sierpniowy dzień, w wielojęzycznym tłumie turystów z całego świata. Wszyscy przyjeżdżający do tego pięknego kraju starają się zobaczyć Delfy.

W starożytności Delfy były jednym z głównych ośrodków religijnych w Grecji. Tutaj, od ok. VIII w. p.n.e. znajdowała się wyrocznia, będąca pod opieką Apollina, boga światła i sztuk pięknych. Jako bóg wróżb i wyroczni Apollo, który zwyciężył smoka Pytona, odbierał w Delfach cześć, zwłaszcza podczas igrzysk pytyjskich. To tutaj słynna Pytia, kapłanka wyroczni delfickiej, udzielała odpowiedzi i dawała rady szukającym pomocy.

Wykopaliska na terenie Delf rozpoczęto w II poł. XIX w. i prowadzi się je do dzisiaj. W trakcie odkopywania starożytnej zabudowy odkryto wiele cennych dzieł sztuki, które znajdują się w miejscowym muzeum.

Największy obiekt na terenie wykopalisk, Świątynia Apollina, w swym obecnym kształcie pochodzi z IV w. p.n.e., ale jej plan i styl naśladują zniszczone przez trzęsienie ziemi budowle z VI w. p.n.e. Świątynię zbudowano w stylu doryckim i pozostałości doryckich kolumn można oglądać tu jeszcze dzisiaj.

*Tekst i fot. Maria Czernik*

*Krajobraz górzisty wokół Delf*

*Ruiny kolumn tolosu (rotundy) w okręgu poświęconym Atenie z Delfach pochodzące z przełomu V i IV wieku p.n.e.*



**ALA** ma kota. To słynne zdanie ze szkolnego elementarza Mariana Falskiego wszyscy dobrze znamy. Ale mieć — to jeszcze nie wszystko. Zwierzętami trzeba się opiekować. Z urzędu opiekuje się nimi Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.



**BEZDOMNE** psy i koty. Jest ich w Polsce wiele tysięcy. Prawie wszystkie w przeszłości miały swoich właścicieli. Często błąkają się wygłodniałe i opuszczone. TOZ stara się pomóc bezdomnym psom i kotom, np. przez budowę schronisk dla zwierząt. Członkiem TOZ można zostać dopiero po ukończeniu 18 lat. Opiekować się zwierzętami może jednak każdy.

**DNI DOBROCI** dla zwierząt. Tradycyjnie obchodzi się je w październiku i listopadzie. W tych miesiącach każdy może przyczynić się do poprawienia losu bezdomnych zwierząt, np. przez skromne datki pieniężne na

konto: NBP XV OW nr 1153-191-506-132. Nie można jednak poprzestać na jednorazowych akcjach.

**EMERYTURA** dla zwierząt! Nie wszyscy z Was zapewne wiedzą, że po zakończeniu I wojny światowej (1914—1918) najbardziej zasłużone w przenoszeniu żołnierskich meldunków psy i konie otrzymały wojskowe emerytury. Po śmierci wyprawiano im honorowe pogrzeby pułkowe, a niektórym nawet budowano pomniki! Działo się to wszędzie w Anglii, gdzie zwierzęta są szczególnie kochane!

**FINANSE TOZ** pochodzą z trzech źródeł: ze zbiórek społecznych oraz darowizn, ze składek członkowskich oraz dotacji PZU i Ministerstwa Rolnictwa. Warto wspomagać działalność TOZ!

**GODŁEM** Towarzystwa jest złota gwiazda (z promieniami) na niebieskim tle,



z napisem: Towarzystwo Opieki Nad Zwierzętami w Polsce.

**HARCERZ** powinien być wzorowym opiekunem i przyjacielem zwierząt! TOZ zamierza w niedalekiej przyszłości zorganizować za pośrednictwem harcerzy oraz młodzieży z Domów Dziecka tzw. akcje patrolowe w poszukiwaniu zwierząt, którym trzeba natychmiast pomóc.

**INTERWENCJA.** Gdy zauważysz, że jakimś zwierzęciu dzieje się krzywda, zawiadom o tym jak naj-





szybciej najbliższy oddział TOZ! Twoja interwencja może ocalić niejedno zwierzę.

**JUBILEUSZ.** Niedawno Towarzystwo obchodziło 120-lecie swojego istnienia. Założone w 1864 r. w Warszawie (jako druga w Europie, po londyńskiej, organizacja społeczna tego typu) skupiało w swoich szeregach wiele wybitnych osobistości. Należeli do niego m.in. H. Sienkiewicz, B. Prus, A. Świętochowski i A. Dygasiński. Z okazji tego jubileuszu najbardziej zasłużeni działacze TOZ otrzymali tytuły członków honorowych. Jest ich obecnie 24!

**KOT.** Na temat kotów istnieje bardzo bogata literatura. A o miłości ludzi do kotów świadczy chociażby odnalezienie na starożytnym cmentarzu w Egipcie 300 tysięcy mumii kocich, czyli kotów zabalsamowanych pośmiertnie przez ich właścicieli.

**LEŚNICZY.** Dobry leśniczy dba nie tylko o las, ale i o lesne zwierzęta.

**ŁAJKA** — to pierwsza w świecie „psia astronautka”, wysłana w kosmos 3 XI 1957 r. na statku radzieckim „Sputnik 2”. Łajka ma swój pomnik w ZSRR.



**MUPPET SHOW.** To popularny na całym świecie program rozrywkowy, w którym role aktorów pełnią zwierzęta-kukielki. Ukazuje w bardzo zabawny sposób, że świat zwierząt niewiele różni się od naszego.



Mumia kota

**NAJWYŻSZĄ WŁADZĄ** TOZ jest Walne Zgromadzenie Delegatów Wojewódzkich.

**OPIEKUN SPOŁECZNY.** Może być nim każdy, kto kocha zwierzęta i bezinteresownie opiekuje się nimi.

*zagubiony w cywilizacji*



WPLAĆ OFIARĘ W MIESIĄCU DOBROCI DLA ZWIERZĄT  
NA KONTO: NBP XV o/miasto Nr. 1153-191566-132

**ZOSTAŃ CZŁONKIEM TOZ**

TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZWIERZĘTAMI W POLSCE • ZARZĄD OKRĘGU  
w 4-wo ul. Niezłomnych 110

**TRESURA** zwierząt. Dzięki odpowiedniej tresurze psy ratują tonących, szukają ludzi zaginionych w górach, odnajdują zagubione przedmioty, a także używane są do wielu zadań specjalnych w milicji, wojsku, urzędach celnych.

**ULICA** lub droga — to miejsce, gdzie zdarza się wiele wypadków, w których giną zwierzęta nie znające przecież znaków drogowych. Zapamiętaj więc, że psy należy wyprowadzać na ulicę tylko na smyczy! (a i koty także!)

**WNYKI**, sidła i pułapki, zastawiane w lesie przez kłusowników na dziką zwierzynę, powinny zostać natychmiast zniszczone. Najlepiej jednak niezwłocznie zawiadomić o znalezieniu ich służbę leśną!

**ZARZĄD GŁÓWNY TOZ** mieści się w Warszawie przy ul. Noakowskiego 4. Prezesem Zarządu Głównego TOZ jest mgr Janusz Sokółowski.

*Beata Adriańska*



**TOZ** szkoli coraz więcej nowych opiekunów.

**PTAKAMI** żyjącymi w mieście zajmuje się Liga Ochrony Przyrody, ale Towarzystwo również buduje im specjalne poidła i karmniki, zwłaszcza w zimie.

**RODOWÓD** psa i kota świadczy o jego rasie. Nie zawsze z „dobrym rodowodem” idzie w parze mądrość zwierzęcia. Ponoć najmądrzejsze są zwykle nie posiadające

rodowodu kundle i koty podwórzowe.

**SCHRONISKA** dla zwierząt. Jest ich w Polsce zaledwie 24, a przydałoby się jeszcze drugie tyle! Pracują w nich niezwykle ofiarni ludzie. Niektóre schroniska jeszcze są nieodpowiednio urządzone i przepelnione i nie zawsze mają odpowiednie środki finansowe dla utrzymywania w nich zwierząt. Trzeba wspomagać TOZ w akcji budowy schronisk i ich wyposażania.



1. Świerki utrzymują igły, a modrzewie (na drugim planie) tracą je
2. Skórzaste liście borówki pozostają zimą zielone



## ROŚLINY ZIMOZIELONE

Jest zima. Drzewa stoją bezlistne. Liście opadły, bo przemarznięte i zniszczone powstałymi w ich wnętrzu kryształkami lodu i tak by nie dotrwały do wiosny. Czy jednak wszystkie liście opadły? Dęby i graby są wciąż strojne liśćmi, tyle że brązowymi, już nieżywymi, które odpadną wiosną, gdy zaczną się rozwijać nowe pączki. Natomiast w lasach iglastych, w borach sosnowych, pod śniegiem zieleńią się krzewinki roślin z rzędu wrzosowców: borówki czerwonej, bagna, wrzосу, żurawiny. Także niektóre rośliny ogrodowe, pochodzące z zagranicy, mają mimo zimy liście żywe i zielone. Nazywamy je zimozielonymi. Liście tych roślin mają grubą skórkę. Mówi się o nich, że są skórzaste, skóra zabezpiecza wewnątrz liścia przed mrozem.

A może ktoś z Was, myśląc o borach, w których można znaleźć zimozielone borówki, znalazł w lesie inne rośliny nie zrzucające liści na zimę? Gdy żurawiny i wrzosity płożą się przy ziemi, bór szumi gałęziami sosen, świerków i jodeł, pokrytych teraz, zimą, jak i latem, licznymi zielonymi igłami. Te igły to nic innego





3

jak liście. Tyle, że kształtu... igły, a nie płaskiej kartki. Powierzchnia igły pokryta jest woskowym nalotem, zabezpieczającym wnętrze przed mrozem.

Wśród drzew iglastych, podobnie jak i wśród liściastych, też są wyjątki. Tak jak drzewa i krzewy liściaste w naszym klimacie z reguły zrzucają liście na zimę, a tylko wyjątki, jak wrzosowce, pozostają zimozielone, tak iglaste zachowują liście-igły na zimę, ale niektóre gatunki je tracą. Takim drzewem o bezigielnych gałązkach zimą jest modrzew. Zimą stoi on bezliśtny, a wiosną zieleni się jak towarzyszące mu brzozy, olchy lub lipy.

Zauważyć można, że drzewa iglaste licznie występują w górach i na północy, co świadczy o tym, że lepiej znoszą chłodny klimat, gdyż dzięki igłom wciąż zielonym i gotowym do wykorzystania promieni słonecznych przedłużają swój okres wegetacyjny o te miesiące, w których drzewa liściaste jeszcze nie zdążyły rozwinąć liści lub właśnie je tracą. Za to latem, czyli w ciepłym klimacie drzewa liściaste rozwijają tak wielkie powierzchnie liści, i produkują dzięki nim tak duże ilości życiodajnych substancji, że prześcigają iglaste.

*Anna Pawłowska  
Fot. Wiktor Pawłowski*



4

3. Żurawina też należy do roślin zimozielonych

4. Martwe liście pozostają zimą na grabie

5. Modrzew żółknie i zrzuca igły

5



# MOST PONIATOWSKIEGO

Z trzecim mostem — tak go nazywano od początku, choć chronologicznie był czwarty po moście Kierbedzia i dwóch kolejowych — od początku działały się jakieś dziwne rzeczy.

Wiadomo było urbanistom, że Warszawa, ograniczona od północy przez Cytadelę, będzie się rozwijać w kierunku południowym, a w związku z tym centrum miasta będzie coraz bliżej Mokotowa.

Aby sprostać wyzwaniu przyszłości, ludzie odpowiedzialni za komunikację już w r. 1870 wysunęli koncepcję budowy drugiego z kolei mostu ulicznego przez Wisłę u wylotu Al. Jerozolimskich. Byłby to most stalowy, drogowo-kolejowy, łączący dworce: Wiedeński (Główny) i Terespolski (Wschodni).

Za usytuowaniem mostu w tym rejonie przemawiały jeszcze względy, które dziś nazwalibyśmy rekreacyjnymi. Otóż po drugiej stronie Wisły wabiła mieszkańców z prawego brzegu Saska Kępa swoją świeżą zielenią, chaszczami, łączkami itp., będąc od lat ulubionym miejscem świątecznego wypoczynku braci rzemieślniczej i robotników Warszawy.

Jednak ta koncepcja upadła, gdy most kolejowy zdecydowano wybudować w sąsiedztwie Cytadeli.

Na razie z takiego obrotu sprawy byli zadowoleni przewoźnicy.

Historycy warszawscy odnotowują ponowne próby budowy trzeciego mostu w r. 1879 i sprzeczki warszawskiej prasy.

„...miasto Londyn, liczące 3 miliony 356 tysięcy mieszkańców... ma 17 mostów. W Londynie tedy jeden most przypada na 197 tysięcy mieszkańców. Warszawa liczy wszelkiej ludności 280 tysięcy, rzekę ma nie w środku, ale na krańcu miasta... a jednak ma dwa mosty. To znaczy, że ma jeden most na 140 tysięcy mieszkańców, czyli więcej niż w Londynie”.

Ta druga koncepcja utknęła w biurku urzędników Ministerstwa Komunikacji na 10 lat. Trzeci z kolei projekt również „przeleżał się”. Dopiero po przeszło 30 latach od pierwszej koncepcji, w r. 1904, centralne władze w Petersburgu wyraziły zgodę na budowę mostu wg projektu inż. Marszewskiego i Plebińskiego.

Początek budowy mostu nie zapowiadał ostrej kampanii prasowej, jaka z jego powodu wynikła, gdy zwieziono potrzebne materiały i przygotowano plac budowy.

Redaktorzy wołali na alarm, ponieważ: „...Fabryka asfaltu Braci Rołmil pozbawiona zostaje zupełnie wyjazdu...”



*Rozpoczęcie robót przy budowie Mostu Poniatowskiego od strony Wału Praskiego  
Most Poniatowskiego oparł się atakowi kry*



„Liczne fabryki, zakłady przemysłowe, kupcy drzewni zmuszeni są dostawać się do miasta przez spadziste, oddalone, niedostępne dla wozów z ciężarami ulice Tamkę i Książęcą...”

Władzom miejskim i kierownictwu robót zarzucano m. in. nieudolność.

A most tymczasem rósł, wtapiał się coraz bardziej w pejzaż Warszawy.

Robót nie przerwały trudności finansowe i szkody wyrządzone przez krę.

6 stycznia 1914 r. przejechała po moście rosyjska artyleria. Po tym próbnym obciążeniu otwarto oficjalnie „Most... im. cesarza Mikołaja II”. O nazwie „Poniatoszczak” nikomu się jeszcze nie śniło. Przekorni warszawiacy dali mu nazwę: „Trzeci”, choć był czwarty. Przypomnijmy sobie: most Kierbedzia i dwa mosty pod Cytadelą.

W połowie roku 1915 wycofujące się wojska rosyjskie wysadziły w powietrze 4 przęsła.

*Próba mostu pod ciężarem armat*





Rys. Jan Hawrykiewicz

W r. 1916 Niemcy, aby ułatwić przeprawę swym wojskom, zmontowali drewniane pomosty, wzmocnione stalową konstrukcją. Z nie wyjaśnionych bliżej przyczyn pomosty po kilku miesiącach spłonęły, a władze niemieckie nie podjęły nowej próby odrestaurowania przeprawy.

Kasy powstałego z ruin państwa polskiego i jego stolicy były niezasadne. Toteż po różnych perturbacjach do odbudowy mostu przystąpiono dopiero w r. 1921. Należy jed-



nak odnotować, że w 1920 r. nadano mu nazwę istniejącą do dziś: „Most im. ks. Józefa Poniatowskiego”. A warszawiacy znowu po pewnym czasie nazwali go po swojemu — „Poniatoszczakiem”.

W roku 1925 otwarto ruch na razie na jednej połowie mostu, a w r. 1927 — na całej szerokości. Od tej pory datuje się zaskakujący rozwój Saskiej Kępy. W ciągu kilku lat wyrosły tam eleganckie, tonące w kwiatach wille, pobudowano szerokie, wygodne ulice, łączące tę dzielnicę mostem z centrum miasta. Nie chciany Trzeci Most stał się drogi warszawskim rodakom jak Kolumna Zygmunta, panorama Starówki czy Trakt Królewski.

Dzielił losy miasta. W 1939 r. jako ważny obiekt strategiczny nieustannie pozostawał pod ostrzałem niemieckim z ziemi i powietrza, a jednocześnie pilnie był strzeżony przez wojskowe i cywilne służby polskie. Wszelkie szkody, a było ich wiele: 59 dziur i 6000 drobnych uszkodzeń, usuwano natychmiast.

„Poniatoszczak” zniszczony został jak i miasto w 1944 r. Kiedy podjęto decyzję o jego odbudowie, znowu odezwali się opoenenci, którzy mówili, że most jest źle usytuowany i nie należy go odbudowywać. Jego rolę powinien przejąć most usytuowany ukośnie do Wisły i łączący lewobrzeżną Warszawę z ul. Targową. W obronie „Poniatoszczaka” głos zabrali fachowcy i opinia publiczna, wysuwając ważne argumenty: zachowane przęsła wiaduktu i filary. Kropkę nad i postawili hutnicy z „Kościszki”, którzy w imieniu hut śląskich zobowiązali się wykonać w ciągu czterech miesięcy niezbędne dla odbudowy mostu łuki stalowe. Przystąpiono do pracy. Niestety, nie obyło się bez tragedii.

4 grudnia 1945 r. zwałił się do rzeki duży dźwig portalowy i siedem stalowych łuków zamontowanego przęsła. Zginął młody hutnik śląski, Józef Krupnik. Tysiące warszawiaków wzięły udział w jego pogrzebie.

Katastrofa nie zahamowała prac. 22 lipca 1946 r. w asyście nieprzejrzanego tłumu mieszkańców stolicy „Poniatoszczak” znowu się włączył — po uroczystym otwarciu — w rytm życia swego miasta.

Obecnie ten przeszło siedemdziesięcioletni starszerek przechodzi kurację odmładzającą. Ekspertyza fachowców brzmiała: wymiana zużytych elementów i odbudowa. Dla przykładu: w części mostowej wymieni się 4 spośród 8 przęsła, a w wiadukcie wymieniony zostanie pomost stalowy.

Kuracja ma potrwać jeszcze przez pewien czas, być może do 1989 roku. A potem — miejmy nadzieję — most znowu będzie służyć miastu.

Józef Zięba



## Gra planszowa „Planszowa”

Jedna z legend tatarskich utrzymuje, że Batu-chan, wnuk osławionego Czyngis-chana, znakomity wódz Złotej Ordy (ten sam, którego wojska w wielkiej wyprawie na Europę podeszły m. in. aż pod Legnicę, gdzie zginął Henryk Pobożny) woził ze sobą na wyprawy wojenne niezwykłą grę, skrzętnie ukrywaną przed wzrokiem ludzi niewtajemniczonych. Podobno przed każdą z bitew Batu-chan miał zwyczaj rozgrywać partyjkę z którymś z dowódców. Przebieg ulubionej gry zaostrzał umysł, nastrojał wojowniczo, a to z kolei miało ponoć wpływ na taktykę działań bitewnych przeprowadzanych na prawdziwym placu boju.

Być może grą Batu-chana (legenda bliżej gry nie określa) był *ja s y r* — pościgowo-wojenna gra umysłowa, rozpowszechniona od dawna wśród koczowniczych ludów Azji Środkowej, a wymagająca od uczestników zabawy pełnej koncentracji uwagi, kształcąca spostrzegawczość i wyobraźnię.

W grze bierze udział dwóch graczy rozgrywających partię dziesięcioma pionkami-łucznikami (po pięć pionków jednej barwy lub kształtu dla każdego zawodnika). Łuczników ustawia się w koczowiskach, jednych u góry na polach 1—5, drugich u dołu na polach 6—10. Celem gry jest zajęcie koczowiska przeciwnika, czyli zamiana obydwu ord miejscami. Ruchy wykonuje się na przemian.

● Każdy łucznik może być przemieszczony z jednego pola na drugie nie zajęte. Odcinek drogi jest wyznaczony przez linię łączącą oba pola. (Przez żadne pole przeskakiwać się wolno).

● Jeśli łucznik jednej z ord „wyjdzie na linię strzału”, czyli przesunie się na pole połączone linią prostą z polem zajęтым przez łucznika z ordy przeciwnej, wtedy ten wypuszcza strzałę strącając nieprzyjacielskiego łucznika z planszy i staje na jego miejscu.

● Zestrzelony łucznik może powrócić na planszę (do dowolnego punktu wyjściowego we własnym koczowisku) wówczas, gdy któryś z łuczników jego oddziału (ale tylko taki, który stracił przynajmniej jednego przeciwnika) dotrze do miejsca przeznaczenia.

● Łucznik, który dotarł do koczowiska nieprzyjaciela, nie może zbijać łuczników

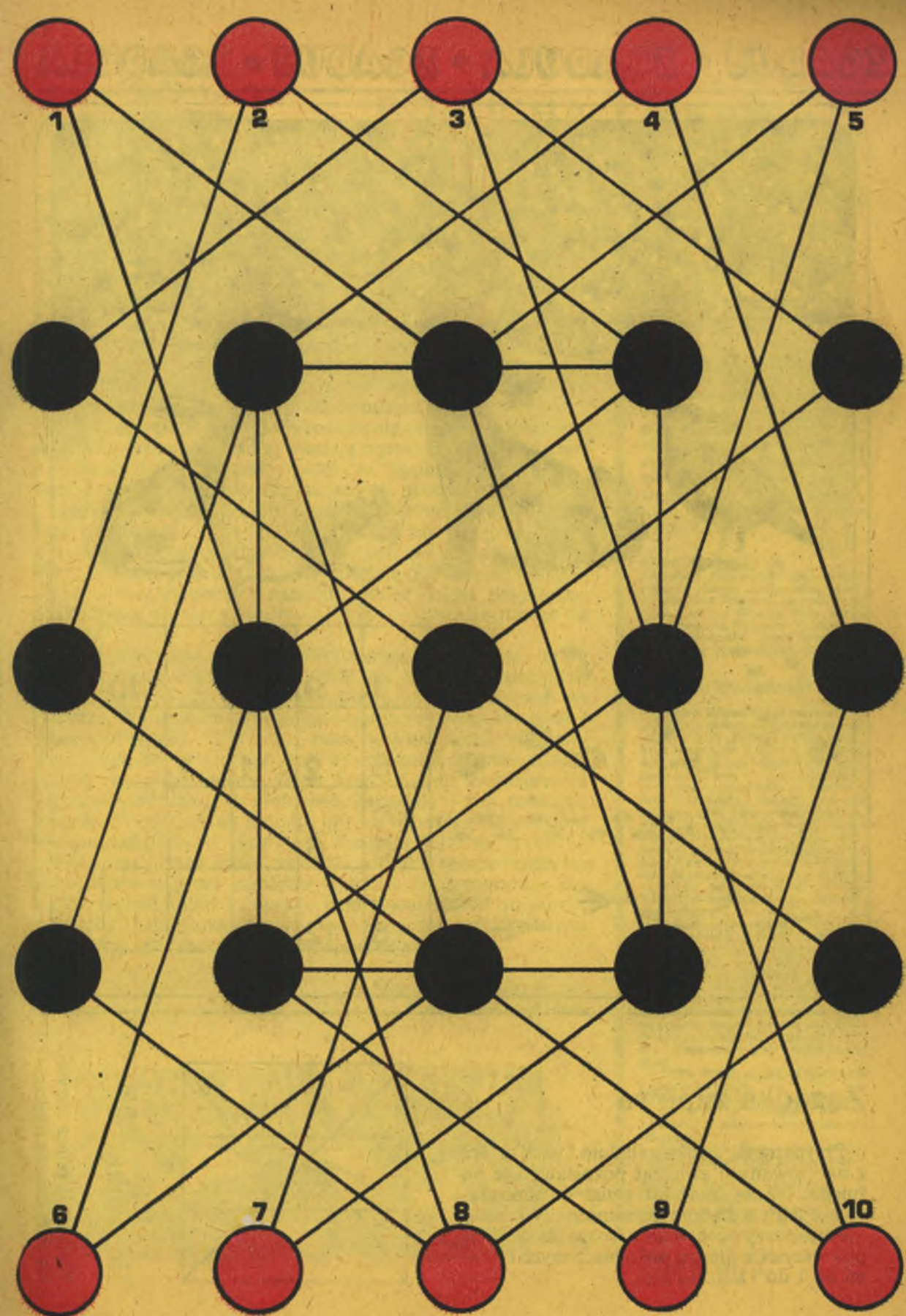
przeciwnika, nawet gdyby miał ku temu okazję. Do końca gry pozostaje już nieruchomy.

● Podczas trwania rozgrywek nie można wykonać jednym pionkiem więcej niż trzy ruchy „wahadłowe” między sąsiednimi polami.

● Rozgrywka kończy się wygraną tego zawodnika, który doprowadzi do koczowiska rywala więcej swoich łuczników niż przeciwnik do jego koczowiska.

Na zakończenie drobna uwaga o samym polu bitwy. Niesymetryczne połączenia pól występujących na planszy, wbrew pozorom, nie dają przewagi żadnej ze zmagających się stron — przy pełnej uwadze i przemyślanych posunięciach każdy z graczy ma jednakowe szanse na zwycięstwo.

*Zdzisław Nowak*



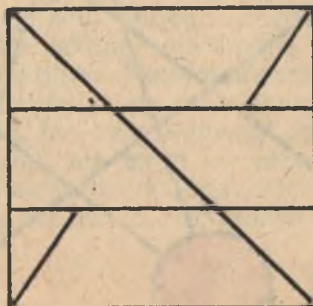


1	9			10
8	2	11	7	
3	6			
5	12	4		

### Zagadka zimowa

Przypatrzyć się uważnie śladom i ustalić, które z narysowanych zwierząt pozostawiło je na śniegu. Nazwy zwierząt wpisać w odpowiadające danym śladom poziome rzędy krater.

Aby odczytać końcowe rozwiązanie, wypisać wszystkie litery z pól oznaczonych cyframi od 1 do 12.



Ile trójkątów?

Wyszukaj i policz wszystkie narysowane trójkąty.

Ropucha szara przez sześć miesięcy w ciągu roku śpi snem zimowym, przez miesiąc odbywa gody w zbiornikach wodnych i przez pięć miesięcy żeruje na polach, łąkach, w sadach, ogrodach, na obrzeżach lasów. Na początku października ropuchy kryją się gromadnie w różnych dołach, wykopach, dziurach wśród korzeni, pod kamieniami, rzadziej na dnie strumyków w towarzystwie żab.

Ze snu zimowego budzą się w marcu. Wychodzą z kryjówek i wędrują do stawów, rowów i jezior, by odbyć gody. W tym czasie samiczki znoszą jajeczka połączone galaretowatą masą w długie sznury. Z nich lęgną się kijanki, które w lecie przeobrażają się w małe ropuszki.

Po okresie godów ropuchy rozlażą się na wszystkie strony. Aktywne przeważnie nocą, zjadają ogromne ilości dżdżownic, ślimaków, chrząszczy, pająków, gąsienic, żuków, turkuci, a także małych ropuch, jaszczurek, zaskrońców i myszy.

Jedyną obroną ropuch przed drapieżnikami, na przykład przed lisami, jest jadowita wydzielina ich gruczołów, a zwłaszcza dwóch dużych, leżących po bokach głowy. W razie zagrożenia lub urazu wydzielają one kleistą, piekącą ciecz o nieprzyjemnym zapachu, która działa usypiająco i szkodliwie na serce, doprowadzając napastnika nawet do śmierci.

Ogrodnicy lubią ropuchy, gdyż zjadają one ślimaki i larwy dokuczliwego mączniaka. Prawie na całej kuli ziemskiej można spotkać różne gatunki ropuch, nawet w oazach na Saharze. Warunkiem ich występowania jest wilgotny teren i obecność wody. Gdy i do oazy zawita susza, ropuchy zagrzebują się w mule wyschniętych kanałów nawadniających, skupiając się w duże kule w celu zmniejszenia wyparowywania wody z ich ciała. Zapadają w sen, czekając wilgoci. Wyjątkiem są gatunki innych ropuch afrykańskich, nie potrzebujących wody do rozwoju kijanek, gdyż są żyworodne. Znane są też ropuchy, których samce noszą na sobie złożone przez samiczkę jajeczka. Gdy zaczynają się z nich lęgnąć kijanki, niosą to całe towarzystwo do wody. Ropuchy mają piękne, żywe oczy z ogromnymi, czarnymi źrenicami, otoczonymi złotymi tęczęwkami.

*Franciszek Kobryńczuk  
Rys. Joanna Kusek*



**PŁOMYCZEK**

**DWUTYGODNIK DLA DZIECI**

**ADRES REDAKCJI:**  
ul. Spasowskiego 4,  
skr. pocztowa 380  
00-950 Warszawa  
tel. 26-27-24



**WYDAWCA:**  
Instytut Wydawniczy  
„Nasza Księgarnia”

**CENA PRENUMERATY:**  
kwartalnie — 180 zł,  
półrocznie — 360 zł,  
rocznie — 720 zł.

**ZESPÓŁ REDAKCYJNY:**  
Elżbieta Brzoza, Tadeusz  
Chudy (redaktor naczelny),  
Piotr Czech (redaktor tech-  
niczny), Maria Czernik, Ali-  
cja Olszewska (sekretarz  
redakcji), Stefan Rutkow-  
ski (fotoreporter), Sabina  
Uścińska-Siwczuk (reda-  
ktor graficzny), Teresa  
Wilk-Białożej

**RADA REDAKCYJNA:**  
Wojciech Żukrowski (przewodni-  
czący), Hanna Białawska, Jerzy  
Filiak, Ewa Józwiak, Ludwik Jerzy  
Kern, Janina Mazur, Ewa Maria  
Pawlikowska, Zbigniew Pawłowski,  
Ewa Sadowska, Maria Włoczek,  
Stanisław Wróblewski, Jerzy Za-  
kroeki

**WARUNKI PRENUMERATY:**

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby zamieszkające w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”, używając „błankietów wpłaty”.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1163-201048-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 80% dla zleceniodawców indywidualnych

i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

**TERMIN przyjmowania prenumeraty:**  
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;  
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

**DRUKARNIA WYDAWNICZA  
IM. W. L. ANCYCA,  
Kraków, ul. Wodowska 8.  
Papier rotas. 70 g, rola 76 cm,  
i rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.**

Zam. 3900/87 D-4  
Nakład 400 370 egz.  
ISSN 0137-8911



**NASZ  
ZWIERZYNIĘC**

Tekst na str. 31

**ROPUCHA**

Fot. Michał Właziński

CENA 30 ZŁ